

POŻEGNANIE PRZYJACIELA

Marian Hemar

Z niezmiernym smutkiem, z gorzkim żalem piszę te słowa pożegnalne. W katastrofie samochodowej zginął Wojciech Wojtecki, długoletni mój przyjaciel, bardzo dobry aktor polski, człowiek niezwykłego uroku i pogody, przez wszystkich lubiany bo każdemu przyjazny, młody jeszcze, w pełni sił i wielkiego talentu.

Jeszcze kilka lat temu był ozdobą i podporą wszystkich teatralnych poczynań na emigracji, w Londynie. Jeśli czasem wydawało się, że niektóre z naszych mizernych i rozstrzelonych wysiłków teatralnych zakrawały na prawdziwy teatr, prawie zawsze była to zasługa jego w nich udziału, on swą obecnością na scenie podnosił poziom i poprawiał styl zespołu. W takich przedstawieniach jak śliczny „Fircyk w zalotach”, jak „Przeziębca”, w której był znakomitym Przelęckim, jak „Milczenie” Brandstaettera, kiedy umiał być przejmującą postacią w lichym dramatycznym utworze, w kilku jeszcze rolach, w „Ptaku”, w najlepszym jakiego widziałem Ludomirze z „Pana Jowialskiego” — stwarzał nie tylko złudzenie dramatycznej postaci, ale także złudzenie autentycznego teatru. W tych czasach swej scenicznej pracy nie miewał grosza przy duszy, żył na krawędzi nędzy, bez końca i bez wytchnienia objężdżał w swej lorze Tespisa „provincję” emigracyjną i utrzymywał się z tego, że przed świtem rozwoził jakieś ciastka i pieczywo do cukierek i restauracji. Wtedy właśnie na nim stały co najlepsze przedstawienia.

Wojtecki był aktorem prawdziwym, rasowym, miał wszystkie zalety i atuty urodzonego aktora i niemal wszystkie ujmujące wady, nierozłącznie zdaje się związane z tym powołaniem. Gdyby nie wojna i wychodźstwo, gdyby młody, chudy jak szczapa chłopak ze spiczastym nosem, którego fotografię pamiętam z gablotki „Teatru Małego” mógł pracować, uczyć się, podraść pod opieką Aleksandra Węgiejki, albo Karola Borowskiego, albo Osterwy, w twórczym środowisku „Teatru Polskiego”, czy „Ateneum”, w towarzystwie żywych wzorów Maszyńskiego i Junoszy. Leszczyńskiego i Jaracza, w przyjaźni i współzawodnictwie

wiersza, można z nim było godzinami pracować nad najcięższymi szczegółami, ledwie uchwytymi finezjami recytacji. Kilka lat temu, kiedy do Londynu przyjechał teatr warszawski z „Domem kobiet” i „Mężem i żoną”, w rewii wystawionej w „Ognisku” dla kolegów i gości z kraju, Wojtecki mówił wiersz o zmarłym niedawno Solskim. Wśród naszych koleżanek i kolegów nie było końca zachwytom nad przepiękną recytacją Wojtka. Świetny fredrowski reżyser Bohdan Korzeniewski mówił mi, że Wojtecki był dlań prawdziwą rewelacją, Cwiklińska i Romanówna nie mogły się go nacałować. Gdyby chciał, mógł być razem z nimi wrócić do kraju, do prawdziwego teatru, na prawdziwe stanowisko. Przy mnie zapraszał go Arnold Szyfman do „honorowego” powrotu.

Może źle zrobił, że wtedy nie wrócił, może przyjeżdżałby do Londynu, jako gwiazdor teatru warszawskiego, może byłby dziś jeszcze żył.

Wyjechał z Londynu zabrany przez Radio Wolnej Europy, które obieżyświatowi, cyganowi bez grosza przy duszy, od jednego zamachu dało przyjemnie uregulowany byt, miłe mieszkanko, niewiele zbyt ciężkiej pracy, nierzadko stałe dochody, i to co lubił najbardziej — piękny własny samochód... Teatr na emigracji poniósł z jego wyjazdem stratę, z której już się nie podźwignął.

W Monachium, w pracy przy mikrofonie, zniknął przecież dla nas i Karol Dorwski, wspaniały talent charakterystyczny, i naj-

zdolniejszy z młodszych Wacław Krajewski, i Bożyński z prawdziwego zdarzenia, i reżyser Radulski, i nie oni jedni. Wyjechała z Londynu Jadwiga Domańska i pierwsza z młodych, Janka Katelbachówna. Ilu nam zabrala śmierć? Kiedy zacząć liczyć — Blichiewicz i Sznućkówna, Modrzeński, Belski, Rewkowski, Laskowski — jaki teatr świata mogłyby się ostać takim stratom, nie mając dopływu nowych sił i młodych talentów?

Póki żył Wojtecki, można było myśleć, że przyjedzie tu na jakie występy, na specjalny urlop teatralny. Widziałem go niedawno, w drodze powrotnej z Izraela, gdym się zatrzymał w Monachium. Marzył o tym, żeby znowu coś zagrać w Londynie i znowu

pojechać na jaki objazd po Anglii.

Dla Wojteckiego teatr i teatralna włóczęga to było niemal jedno i to samo. Niejednokrotnie próbowałem odgadnąć jaki jest w psychice aktorów mechanizm tego wagarowania? Co było przyczyną nieustającego niepokoju wielkiego Karola Adwentowicza, który w żadnym zespole, w żadnym teatrze nie umiał zagrząć miejsca, odżywał dopiero, w objęździe po prowincjonalnych miasteczkach, po Jastach, Krosnach, Sączach, włócząc się z jakimiś potwornymi, ad hoc skleconymi zespołami, ciągle w tych samych starych „Upiorach” i z tym samym starym „Ojcem”? Nie robił tego dla pieniędzy, więcej nieraz wydawał w takiej turze, niż zarobił (wiem o tym dobrze, sam kiedyś pojechałem z nim na je-

den taki objazd, jako sufler, akurat 43 lata temu ...) — dlaczego wydawał się szczęśliwszy w Starym Sączu, na scenie w sali Sokoła, niż w Teatrze Narodowym w stolicy? Nie dla samych pieniędzy włóczyli się po prowincji Jaracz czy Junosza, z trzeciorzędowymi nieraz zespołami. Coś jest we krwi aktora, co mu każe uciekać spod ciśnienia Sztuki przez wielkie „S”, i od czasu do czasu wytarzać się w mule i szlamie szmiry. Czy jakaś w tym ulga, czy odprężenie jakie, jakieś wybawienie od sępa, który zjada wątrobę?

Wojtek miał we krwi taką włóczęgę, nikt jak on nie przemierzył tylu angielskich mil, nie grał tyle razy w hostelach, obozach, kampach, mieścicach, miastach, wszystko jedno w jakiej sztuce, wszystko jedno z jakim zespołem. Ten tryb pracy odbijał się, rzecz jasna, na jego grze i sztuce, nie można być bezkarnie aktorem puszczonym samopas, na śliskie ścieżki szarzy i łatwizny, bez niczyjej kontroli i opieki. Takie objazdowe sukcesy odbijały się i na Adwentowiczu i na Jaraczu, i na Junoszy. Ale rzecz aż dziwna, jak często się to sprawdza, że prawdziwy talent jest silniejszy od pokusy i wygody własnej łatwizny. Prawdziwy instynkt twórczy jest zawsze niepożyty, on pozwalał Wojtkowi raz po raz odradzać się bez uszczerbku i skazy, ilekroć stawał wobec lepszej roli i zaczynał próby pod czyjąś prawdziwą reżyserią. W ciągu dwudziestu czterech godzin zniknął cygan skłonny do szarzy i grania dla galerii, objawiał się entuzjasta wszystkiego co trudne, nowe i rzetelne, aktor tak chłonny, tak posłuszny każdej reżyserskiej wskazówce i tak czarująco skromny, że współpraca z nim stawała się wzruszającą przyjemnością. Po okresie prób autor lub reżyser raz jeszcze umacniał się we wdzięcznej przyjaźni dla czarującego Wojtka.

Miał w sobie dar boski, wieczną zdało się, niepożytą młodość, która jest właśnie zdolnością do ciągłej regeneracji talentu. Kilka tygodni temu, z okazji swej recenzji z „Dożywocia” warszawskiego Teatru Współczesnego w Londynie, St. Baliński wspominał, że należało z braku dobrego Leona Birbanckiego, za-



Wojciech Wojtecki w „Milczeniu” Brandstaettera



Wojciech Wojtecki w „Kowalu, pieniądzech i gwiazdach”

KIEDY ZAPADA KURTYNA

Ryszard Kiersnowski

z plejadą zdolnych rówieśników, pod kontrolą surowej krytyki i wymagającej publiczności — wiem z pewnością, że Wojtecki byłby wyrósł na pierwszą, najczystszy blask gwiazdę naszego teatru.

Miał najlepsze warunki — był postawny i po męsku przystojny, miał szlachetne rysy twarzy i piękny głos, który umiał dźwięczyć wzruszeniem, uwodzić zmysłowością, bawić humorem. Miał wrodzoną gładkość i swobodę gestu, której tak trudno, niesposób prawie się nauczyć, zawsze wiedział co zrobić z rękami i jak się trzymać i ustawiać, naturalnie, bez pozy. W tym wszystkim z natury był bardzo pański, elegancki. Była to właściwość w naszym teatrze zawsze na wagę złota, nie dostawało jej wielu naszym aktorom. Nawet świetnej miary. Wśród aktorskich talentów zawsze więcej mieliśmy typów żywiołowych, dionizyjskich, plebejskich raczej, niż arystokratycznie apollińskich, więcej było progenitury Jaracza, niż Junoszy. Wojtecki był z tej kategorii, która umie nosić dobrze skrojony frak i oficerski mundur, był z kategorii Junoszków i Osterwów i Leszczyńskich, najwspanialsze, najbardziej efektowne role stały przed nim otworem.

Nie mogę zapomnieć, jak świetnym biskupem Krasiekiem był we „Fraszkopisie“ — jednoaktówce, którą napisałem dla niego. Nie wiem czy w kraju, przed wojną, znalazłby się dla niej aktor równie doskonały i z wyglądu i z poczucia stylu i z mówienia wiersza — może jeden Zbigniew Ziemiński mógł być równie dobry. Niejednokrotnie mówiono mi, że w „Lecie w Nohant“ Wojtecki, który grał rolę Szopena we Lwowie, był lepszy niż Ziemiński, który ją kreował w Warszawie.

Rozkoszą dla ucha był wiersz w ustach Wojteckiego. Był miłośnikiem, więcej, fanatykiem

Po prostu chciałoby się powiedzieć, jak to się nieraz mówiło w teatrze: „Nie, Wojtek, tego nie kupujemy“.

Jeszcze szminki nie schowane w garderobie, jeszcze Feluś Stawiński nie wygasił wszystkich reflektorów, jeszcze Kielanowski nie dokończył swoich uwag reżyserskich, które tradycyjnie trzyma w zanadrzu aż do ostatniej chwili.

Jeszcze pod kandelabrem na sali teatralnej snują się szept. że to „prawdziwy następca Osterwy“, jeszcze, jak się wydaje, słychać muzykę Chopina, która szła z taśmy pod tragicznym monologiem pisarza w „Milczeniu“ Brandstaettera, jeszcze błądzisz po scenie jako pół-zwariowany skrzypek w „Kowalu, pieniądzu i gwiazdach“ Szaniawskiego, jeszcze ciągle niez mordowany siedzisz za kierownicą w nieustannej wędrówce teatralnej od obozu do obozu, gdzie w bezkacach śmiechu trzeba ustawiać

dekoracje do „Ptaka“, do „Świtu, dnia i nocy“, do „Skiza“.

Nie, Wojtek, jeszcze czarujesz wszystkich jako Hrabia w „Panu Tadeuszu“ Jeszcze sprzeczą się na scenie z Marysią Modzelewską w „Skizie“. Jeszcze słychać oklaski w Paryżu. Jeszcze słychać do tej pory, tak, właśnie do tej pory, Twój głos na antenie „Wolnej Europy“.

Kiedyś w Nottingham, gdzie odbyła się premiera „Pociągu do Wenecji“, który potem wyruszył na objazd po Oddziałach Wartowniczych w Niemczech i Francji, pilnując za kulisami tekstu, w połowie drugiego aktu przez nieuwagę nacisnąłem kontakt i spuściłem kurtynę. Pamiętam z jaką wściekłością krzyczałeś wówczas:

— Wariacie, ofermo, coś ty zrobił! Jeszcze 20 minut do końca aktu!

Kiedy kurtyna zapada w połowie aktu, można jeszcze zatrzymać publiczność i wytłumaczyć, że to pomyłka.

Kiedy kurtyna zapada w połowie życia, trudno już coś tłumaczyć i trudno się usprawiedliwiać. Dlatego dla nas ta śmierć jest niewytłumaczalna i niezrozumiała.

Nie, Wojtek, dla nas umarłeś tylko raz, jako „Książę Niezłomny“. I takiego chcemy Cię pamiętać, niezłomnego niezachwianego, walczącego o swój „teatr na kółkach“. W tym teatrze, mimo narzekania kolegów, nie było dla Ciebie chwili zmęczenia, nie było czasu na wypoczynek. Nie było czasu na załamanie. Wszystkie spory i niesnaski z miejsca likwidował Twój uśmiech i umiejętność postępowania z ludźmi. Jeszcze dziś brzmi mi w uszach: „Prześtań

się wściekać, mordo kochana“. I przestawialiśmy się wściekać. Chociaż w Kaiserslautern trzeba było grać, zamiast sceny, na kuchennych stołach, a w Verdun nie było kurtyny.

Nie, Wojtek. Nie umiałeś się skarżyć, ani roztkliwiać nad sobą, całonocny skok na trasie Manchester-Londyn, po dwóch przedstawieniach, to było dla Ciebie głupstwo. I zawsze będę pamiętał, żeś bez przerwy starał się rozweselić wszystkich syjąc jak z rękawa kawałami i kalamburami.

Jest taki moment w życiu każdego teatru, już po trzecim gongu, kiedy inspicjent rzuca nerwowo: „Góra“!

Widocznie wśród aktorów na obczyźnie błąka się jakiś wyznaczony przez los inspicjent, który wskazując to na tego to na tamtego woła nagle: „Góra“! I wtedy coraz tłumniej meldujemy się i Pana Boga.

prosić do tej roli emigracyjnego Wojteckiego. Nawet gdyby abstrahować od paradoksalności takiego pomysłu, uderzył mnie, jako dowód, jak młodym widzieliśmy wszyscy Wojtkę. Był już dobrze po pięćdziesiątce, a wciąż wydawał się nam tym młodym wietrzniakiem, uroczym fireykiem, płochym amantem, który mógł i powinien był grywać Birbanc kich

Jakie wspaniałe role czekały Wojteckiego w Teatrze. Mógł być jeszcze najlepszym Papkiem i jedynym Cyranem, i Księciem Niezłomnym, i może Radostem i Chlestakowem, i Wojewodą, i Księciem Kon 'antym... Mógł sięgać po repertuar Adwentowicza i Leszczyńskiego, Maszyńskiego i Junoszy. Umiał mówić wierszem nie gorzej od nich. Do ich miary brakło mu tylko Teatru, ćwierci wieku w Teatrze.

Mieszkałem z nim w jednej izbie, w Aleksandrii, w czołówce Brygady Karpackiej, prowadziliśmy razem teatr tej czołówki, wiele nocy do białego egipskiego dnia przegadaliśmy wierszem, mówiłem mu wszystko co wiedziałem o tajemnicach cezury, czy fredrowskich rytmów. czy „tańca akcentów“ w Słowackim. Był kolegą tak miłym, tak przyzwoitym, taki był wesoły i dobrze wychowany, taki porządny, tak wtedy zakochany w swojej przyszłej żonie, taki jej wierny wśród pokus samotności i żołnierskiej swobody. Polubiłem go wtedy jak młodszego brata.

Zawadzają mi słowa w tej chwili, gdy piszę o jego śmierci, żałuję, że jestem pisarzem z zawodu, że między moim smutkiem a jego śmiercią słowa układają się w rzędy zdań. Coraz mniej nas na wygnaniu, wciąż kogoś ubywa, nie przybywa nowych. Chciałoby się po śmierci takiej krzyknąć: szlusuj! — i zamknąć szereg, ale nie ma komu szlutować, w szeregu zostaje wyrwa żałosa, luka bolesna.



Wojciech Wojtecki i Maria Modzelewska w „Panu Tadeuszu“



Wojciech Wojtecki i Krystyna Dygat w „Fireyku w zalotach“